№ 18. Warszawa, dnia 24 Kwietnia (6 Maja) 1897 r. Rok XXX.

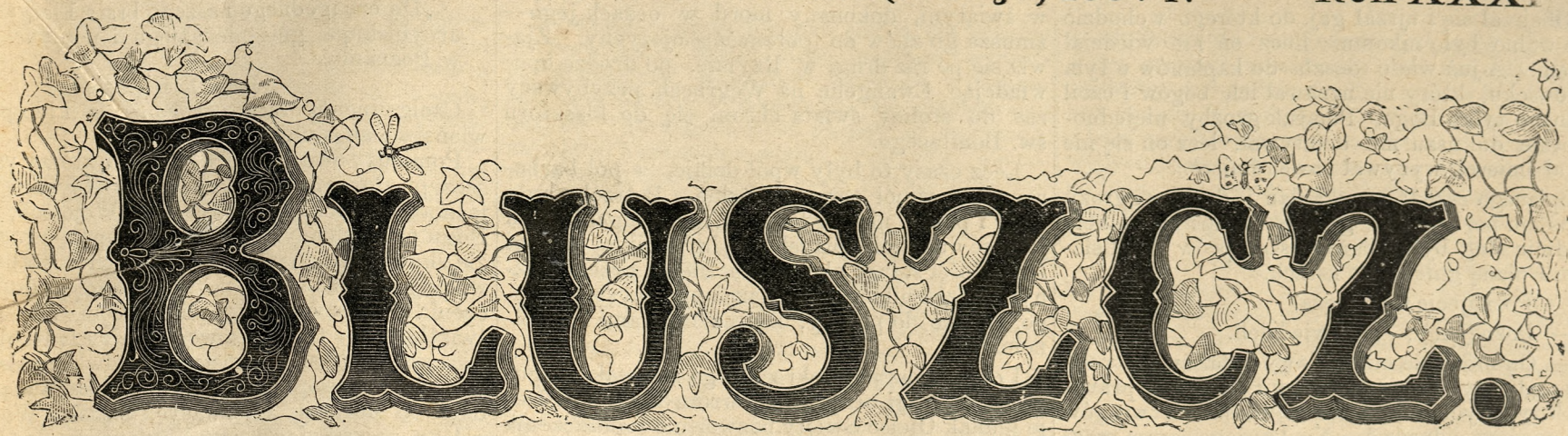

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ROK 997.

Przed wiekami był gaj święty, w którym stały posągi bóstw pogańskich w cieniu modrzewi i jodeł. Noga zwykłego śmiertelnika nie mogła przestąpić granic uroczyska, gdzie odbywały się tajemnicze gusła, kłębiły się dymy ofiarne, płonął wieczysty ogień na ołtarzu z niekształtnych złomów skał granitowych wzniesionym. Ciszę świętego gaju przerywał tylko szmer drzew odwiecznych, tylko pieśń kapłanów rozbudzała echa milczące, tylko szmer kołyszących się wiecznie fal Bałtyku wpadał w rytm drzew tych, ech i pieśni, dodając ogromnej powagi odprawianym tam obrzędom.

Sennie chwiały się drzewa, sennie kołysało się morze. Przybiegało czasami do stóp świętego wzgórza w bryzgach srebrnych, niosąc bursztyny i muszle o barwach tęczowych, które zbierali kapłani jako hołdownicze dary bogom przez morze złożone. I muszle zdobiły ołtarz, bursztyn zabierał ogień. Dym wonny unosił się ku niebiosom i baldachimem chmur okrywał gaj cały. Biada niepoświęcanemu śmiertelnikowi, któryby chciał podpatrzeć tajemnice kapłanów, biada cudzoziemcowi przestępującemu ten próg zaklęty.

Zachód już był chrześcijański, chrześcijanił się wschód powoli,—tu światło wiary Chrystusowej nie dotarło jeszcze, krew męczennika czerwonemi nie padła kroplami, rzucając ziarno pod żniwo boże. Prawda rodzi się w mękach, męczennikami są głosiciele prawdy.

ŚWIĘTY WOJCIECH.

Z kraju, w którym panował Chrobry, do pogańskiej ziemi Prussaków przybył mąż boży. Przeprawili go przez Wisłę Bolesława rycerze i chcieli zostać przy nim, lecz on ich odprawił ze słowami błogosławieństwa i rzekł:

— Oto winnica moja, do której mnie posłał Pan—krzewy są bujne, lecz kwaśne owoce rodzą, trzeba je podlać krwią... Wy, idźcie rycerze, bo nie chcę, by zbroje wasze wzbudzały podejrzenie w ludzie pogańskim—wy idźcie i zanieście błogosławieństwo moje ziemi waszej i waszemu królowi.

— Jesteś bezbronny, — rzekli.

A on im pokazał krzyż...

— To miecz mój i tarcza moja,—odpowiedział.

— Żali on ciebie obroni od złości pogan?

— Żali wy nie padacie od pocisków wrogów?

I został w ziemi pruskiej, mąż ów, wiedząc, że umrzeć musi, że dopiero krew jego otworzy wrota jasności w państwie mroków.

Rycerze odeszli... Przy świętym dwóch tylko zostało bezbronnych towarzyszów. I zaczął przechodzić z sioła do sioła z zagrody do zagrody, opowiadając słowa ewangelii...

Aż oto, znużony długą wędrówką, snem potrzebował pokrzepić ciało. Żar słońca sypał się z niebios bezchmurnych, chłodny oddech wiatru nie chłodził piersi nawet, bo morze spało.

Obejrzał się i ujrzał gaj, do którego wchodzić nie wolno było nikomu. Lecz on nie wiedział o tem. A już wieść doszła do kapłanów o tym człowieku, który nie uznawał ich bogów i czcił jednego tylko Boga. Pomruk groźby niejednokrotnie do uszu mu dolatywał, lecz on się nie lękał śmierci, wyzywał nawet śmierć...

Śpiącego zszedł arcykapłan i dreszcz zgrozy włos mu poruszył na głowie. Z arcykapłanem siedmiu sług było, każdy oszczepców miał siedem i pianę gniewu na ustach.

— Poznajecie tego męża?

— Poznajemy,—odpowiedzieli.

— On mówi, że miłość zwycięża świat, podczas gdy my, mając oszczepy i topory w prawicach żylastych, od granic ziemi naszej wrogów nie możem odpędzić. Nauka jego serca rozmiękcza, z męża trwożliwe dziecię czyni— —

— Zabić go—stopami grzesznemi przestąpił gaj nasz święty.

I siedem dzid czy oszczepów oderzyło w pierś apostoła i siedem zakrwawiło się ran i siedem strug krwawych na pogańską bryzgnęło ziemię.

Był to pierwszy chrzest krwi jaką otrzymała Prussów kraina, a na imię męczennikowi było— Wojciech inaczej Adalbertus. Działo się to dnia 23-go Kwietnia 997 r.

Święty Wojciech rodem był z Czech, pochodził ze znakomitej rodziny Sławników hrabiów na Libiczu. Datę urodzenia jego podają na rok 956. Dzieckiem już, przez rodziców, został Bogu poświęcony; gdy podrósł nauczono go czytać i pisać i wpojono pierwsze zasady wiary Chrystusowej.

W latach szesnastu opuścił dom rodzicielski i udał się na nauki do sławnej szkoły w ów czas w Magdeburgu znajdującej się przy klasztorze Św. Maurycego. Główny opiekun szkoły biskup Adalbert pokochał młodego wychowańca i nadał mu imię, jakie sam nosił, przy świętym obrzędzie bierzmowania. Po latach dziewięciu, święty Wojciech do kraju wróciwszy, otrzymał z rąk Terhata biskupa Praskiego pierwsze święcenie kapłańskie.

Nie od razu u Świętego Wojciecha powstała myśl apostolstwa i zaparcia się wszelkich dóbr ziemskich dla dóbr niebieskich. Syn magnata Królestwa Czeskiego nie zrywał zrazu ze światem, pociągały go jego ponęty, owiewał urok ziemskich rozkoszy.

Bez walk nie odrywa się od świata. Po walkach dopiero z szatanem pokus, wybraniec niebios niebu się cały oddał, nawracając ludzi słowem i przykładem, ucząc jak Boga kochać potrzeba.

Przywdział więc włosiennicę, głowę pokutnym posypał popiołem, wszystko co miał ubogim rozdał, zdumiewając ludzi pobożnością swoją.

Te czynności, te cnoty jawne, bo jawne być musiały, by pociągnąć do naśladownictwa grzeszników mogły—zwróciły na siebie uwagę ludu i duchowieństwa, pragnących widzieć w nim swojego dusz pasterza. I oto w 983 r. d. 29-go Czerwca poświęcony zostaje przez arcybiskupa moguncki w Weronie na biskupa w Pradze.

Dostąpiwszy tak wysokiej godności oddał się cały owieczkom swoim. Nikt od progu jego nie odchodził bez słów pociechy lub materyalnej pomocy. Co miał, oddawał biednym, nieraz tak bywał ogołocony ze wszystkich szat swoich, że nie mogąc już niczem okryć nagości pukającej do drzwi jego nędzy, oddawał pokrycie poduszek, wierny będąc zasadzie, by nikt nieobdarzony nie odchodził od progów jego mieszkania.

Mimo jednak przykładów, jakie dawał z siebie, mimo jednak czci, jaka go otaczała—dyecezyanie prowadzili żywot rozpasany, nad czem bolało serce zacnego pasterza. Daremne były przestrogi biskupa, groźby i prośby—nie przejęte jeszcze duchem chrystusowym społeczeństwo, brnęło w występkach i bezprawiach wszelkiego rodzaju. Zrażony do Pragi, w której głos jego był głosem wołającego na puszczy—rzuca niepoprawną stolicę, jedzie do Rzymu i tam wstępuje do zakonu O. O. Benedyktynów. Na rozkaz jednak Papieża wraca do Pragi—lecz tu, w świątyni, dokonany mord w oczach jego—zmusza go znów do porzucenia ojczyzny. Zjawia się po raz drugi w Rzymie, po drodze opowiadając Ewangelię na Węgrzech, przybywszy zaś do stolicy świata chroni się do klasztoru św. Bonifacego.

Lecz czasy to były wpół dzikie, w pół barbarzyńskie, w pół chrześcijańskie. Potrzeba było ofiar i pracy niemordowanej nad spoganionemi jeszcze duszami, potrzeba była wielkiej odwagi i śmiałości stanąć oko w oko, nieraz przed możnym grzesznikiem,—wykazać mu występek jego, zmusić do pokory, zagrozić karami kościelnemi.

I oto rozkaz papiezki znów go zniewala do powrotu do Pragi, bez prawa powrotu do Rzymu. Daje jednak Ojciec Święty pozwolenie opuszczenia nieposłusznej Pragi, pod warunkiem, gdyby zło się tam nie zmniejszało, gdyby biskup niemógł nadal w mieście tem mieszkać; ma prawo wtedy je opuścić, lecz—udać się w ziemie pogańskie i tam zapalać światło wiary Chrystusowej.

Posłuszny woli najwyższego Pasterza, biskup-zakonnik, po raz wtóry wraca do swojej stolicy,—lecz oto na samej granicy Czech dolata do jego oczu wieść straszna. że bracia jego, wraz z żonami i dziećmi wymordowani zostali, jeden tylko Radzin schronił się do Polski na dwór Bolesława Chrobrego.

Do tego króla podąża i ś. Wojciech. Nie na opiekę jednak, nie na wywczas zasłużony, lecz na to, by nowych sił nabrawszy, według rozkazu Papieża, udał się w kraje pogań.

I poszedł do Prusaków,—gdzie go spotkała śmierć, gdy usnął znużony w gaju świętym.

Wiemy, że Bolesław Chrobry na wagę złota wykupił ciało świętego, wiemy że wgnieźnieńskiej katedrze wznosi się wspaniała trumna biskupa, że pieśń „Boga Rodzica“ przypisywana Świętemu Wojciechowi, dawniej była rycerskim hymnem, przy której brzmieniu szła oskrzydlona hussarya na dziesięćkroć liczniejszego wroga, a zawsze prawie zwycięzko. Pieśń święta brzmi dotąd we wszystkich kościołach Polski, pieśń nigdy niezapomniana, uboga melodyą, bogata czarami wspomnień.

Kto był jej twórcą?

Tradycya chce, by św. Wojciech był jej autorem, nauka stawia veto, nie podając innego nazwiska twórcy.—Spór jednak nie roztrzygnięty, znajduje albowiem gorącego obrońcę w uczonym czeskim ks. Konradzie.

Nie masz wprawdzie o tej pieśni wzmianki w Długoszu, jako o utworze św. męczennika,—lecz to nie byłoby zaprzeczeniem autorstwa św. Wojciecha. Miałże wspominać o tem, o czem może cały naród wówczas wiedział, mógłże przypuszczać zakwestyonowanie jej przez potomnych?

Lingwistyczne badania odnoszą ją do wieku XIV-go.—Lecz kto wie, czy pieśń tak bardzo rozpowszechniona w narodzie, podawana pokoleniom przez pokolenia nie zapomocą pisma lecz podań ustnych, nie zmieniała pewnych wyrażeń stosownie do kształcącego cię wciąż języka, tak że odpis jej pierwszy z w. XIV, z natury tych zmian nosił już cechę późniejszą, z wyjątkiem kilku ustępów starego czechizmu. Jest pewnem, że nie Polak był twórcą tej pieśni—za tem przemawiają owe czechizmy. Jakkolwiek było jednak „Bogarodzica“ jest najdroższym skarbem, najdroższym zabytkiem literatury naszej i po wiek wieków świętą pozostanie pieśnią.

900 lat upłynęło od dnia męczeńskiej śmierci świętego Wojciecha. W tumie gnieźnieńskim zebrały się tłumy dla uczczenia grobu apostoła i wyproszenia u Boga łask, wzmocnienia upadającej wiary w potęgę krwi wylanej za prawdę.

Lat dziewięćset!

Wiele wspomnień, boleści, łez, tryumfów i upadków zawartych, zostało w tych wiekach dziewięciu!—Wieleż w dniu wielkiego jubileuszu modlitw uleci do Pana nad Panów z prośbą o łaskę i zmiłowanie!

Na zakończenie tego krótkiego ustępu o św. Patronie Polski, przytaczamy List Ojca świętego do ks. arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego.

Oto jego brzmienie dosłowne:

„Do czc igodnego naszego brata Floryana, arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego w Poznaniu.

Leon XIII Papież.

Czcigodnemu bratu pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie.

Pomiędzy dostojnymi pasterzami, którzy wśród szczepu słowiańskiego krzewili świętą wiarę, zajaśniał w osobliwy sposób św. Wojciech, mąż Bogu cały oddany. Był on biskupem praskim, ale skutkiem zamachów bezbożnych został zniewolony opuścić swoją biskupią stolicę z dopuszczenia Opatrzności w tym bodaj celu, aby niósł światło wiary Chrystusowej między ludy objęte jeszcze mrokiem pogaństwa i bałwochwalstwa. Ożywiony myślą i gorliwością Apostołów przebiegł on Morawię, Chorwacyę, Szląsk i Wielkopolskę, nawracając bardzo liczne rzesze do Chrystusa Pana. W końcu, po dłuższym pobycie w Gnieźnie, udał się na missyę do Prusaków i tamże, nad zatoką morską, w pobliżu Fischhausen, poniósł wśród chwalebnego męczeństwa w chętnej ofierze swoją krew i życie w utwierdzeniu św. wiary, której w umysłach skutecznie zaszczepiał. Więc, gdy dziś dziewięćsetna rocznica śmierci świętego męża nadeszła, słuszną prawdziwie i sprawied[illegible] jest rzecz, że pragniecie jego pamięć u[illegible] świętym obchodem uroczystym; przystoi t[illegible]znu, bo właśnie Św. Wojciechowi zawdzięc[illegible] że mieści u siebie biskupią stolicę, a rów[illegible]nie dostały mu się w udziale zaszczyt i szczęście, że cieszy się posiadaniem drogich zwłok Świętego męczennika. My zaś w przekonaniu, że uroczystość ku czci Ś. Wojciecha zamierzona przyczyni się nie mało do pomnożenia pobożności, jaką przodkowie wasi od Św. patrona przejęli, postanowiliśmy, czcigodny bracie, zachęcić serca i umysły wiernych do tego obchodu przez nadanie odpustów, których wam niniejszem użyczamy pod warunkami w dołączonym dekrecie wyszczególnionemi.

Nadto jako zadatek łask Bożych i dowód naszej ojcowskiej życzliwości, dołączamy błogosławieństwo apostolskie, którego tobie i wszystkim wiernym, twojej pasterskiej pieczy powierzonym, najmiłościwiej w Chrystusie Panu udzielamy.

Dan w Rzymie u Św... Piotra dnia 8 Marca 1897 roku w 20 roku naszego pontyfikatu.

Leon XIII Papież.“

K. G.

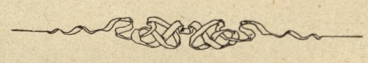

Matka znakomitego człowieka

(TERESA RIEGROWA).

(Dokończenie).

Riegrom narodziło się troje dzieci, najstarsza córeczka Teresa, po niej syn Franciszek, potem córeczka Marya. Ta ostatnia umarła w dziecięctwie, Franciszek zaś, urodzony 8 grudnia 1818, żyje dotąd na chwałę rodu Riegrów i narodu czeskiego. Dobra i troskliwa matka o nic tak Boga nie prosiła jak o „dar Ducha świętego“ dla dzieci swoich. Ojciec pieścił córeczkę, dla matki żywy i czupurny syneczek był oczkiem w głowie. A ta żywość malca o mało trzykrotnie nie przyprawiła go w młynie o utratę życia. Przerażona matka postanowiła, lubo z bólem serca, oddalić go z domu. Odwiozła więc chłopca do Wysokiego, gdzie powierzyła go wikaremu Huszkowi, i tam uczęszczał do szkoły początkowej. Po dwóch latach oddała go do Szumberka do nauczyciela Karaska, który słynął jako wyborny pedagog i nauczyciel muzyki. Od niego to malec niespodzianie przywiózł rodzicom świadectwo z ukończenia szkoły trzechklasowej, co naówczas dawało prawo wejścia do gi nnazyum. A miał wtedy dopiero lat dziesięć.

Nauczyciele, księża namawiali panią młynarkę, aby tak zdolnego chłopca oddała dalej do

szkół, na co się ona chętnie zgadzała, ale ojciec chciał, aby synek został młynarzem, a nadto żal mu było pieniędzy na szkoły. Na ten ostatni argument stryj Franciszek wtrącił się do całej sprawy i obiecał sam łożyć na chłopca. Dzięki temu pani Teresa w jesieni r. 1829 odwiozła małego Franusia do Iczyna i tam go do gimnazyum oddała. Na nieszczęście 6 lutego r. 1830 rażony apopleksyą umarł Franciszek, a brat Wacław miał kłopoty ze spadkobiercami, innymi braćmi, a nawet dalszymi krewniakami, aż do czwartego pokolenia. Musiał od nich odkupić drugą połowę młyna, i wypłacić im działy. Po dwóch latach nauki w gimnazyum Franciszek powinien był powrócić do domu i wziąć się do młynarstwa, ale ponieważ uczył się pilnie i rwał do książek, matka nie bez ciężkiej walki z ojcem znowu go na dwa lata wyprosiła. Ale po dwóch latach młodzieniaszek, aż się rwał do Pragi, gdzie pragnął kształcić się pod Jungmanem, naówczas słynnym literatem i dyrektorem gimnazyum na Starem Mieście.

Na teraz walka matki, pragnącej uskutecznić życzenia syna, i ojca, który żądał, aby już raz zabrał się do przyszłego swego zawodu, była bardzo niełatwa, ale kochająca rodzicielka, instynktownie korząca się przed światem wiedzy i nauki, użyła całej energii i wymowy swej, aby złamać opór ojcowski. I dopięła swego, ale ojciec z niechęcią dawał pieniądze na naukę syna. Wtedy to wielce się przydały owe guldeny, które nieboszczyk Franciszek dawał był „dla krewniaka Przypadku.“

Pani Teresa często odwiedzała synka w Iczynie i teraz także jeździła do niego do Pragi. W tem wielkiem mieście zrobiła znajomość z zacną piwowarką Anną Naprstkową, matką słynnego patryoty i filantropa Wojciecha Naprstka. Ta prosta pochodzeniem i duszą niewiasta pojmowała dobrze panią młynarkę, sama bowiem poświęcenie swoje dla kształcenia synów posuwała do tego stopnia, iż najmowała się do mycia podłóg, aby miała czem opłacać za nich szkołę. Witał panią Teresę także bardzo serdecznie sam dyrektor szkoły, Józef Jungmann, patryarcha nowej literatury czeskiej. Sam dziecię chaty wiejskiej (rodem z wioski Hudlic pod Berounem), mąż, który żywot cały poświęcił, aby Czechów uczyć po czesku, który dał im *Słownik* takiż sam, jaki my dostaliśmy od Lindego, *Literaturę* i teoryę i historyę literatury i wiele innych dzieł znakomitych z rozkoszą wsłuchiwał się w czystą, jędrną czeszczyznę, słodko brzmiącą w ustach dzielnej góralki, co tyle ofiar dla kształcenia syna robiła. A ta mowa górska jakżeż różną była od obrzydliwego szwargotu, zeszkaradzonego tysiącem bezpotrzebnych germanizmów i grubych błędów gramatycznych, który Jungmann na każdym kroku słyszał po ulicach praskich. Zatrzymywał więc prostą młynarkę u siebie na obiedzie, wsłuchiwał się w jej mowę i niejeden wyraz, niejeden frazes jej zapisywał sobie dla *Słownika*. Co więcej młody Rieger stał się wkrótce współpracownikiem starego autora, w czasie wakacyi bowiem zbierał w okolicy rodzinnej słowa, które wchodziły w skład wiekopomnego dzieła Jungmannowego.

Zacny dyrektor jak ojciec opiekował się młodym młynarczykiem, który miał z czasem wyrość na taką znakomitość. Gdyby nie on, młodego Riegra byliby dawno ze szkół wypędzili, w chłopcu bowiem siedziała rogata dusza. Już w Iczynie oparł się karze klęczenia, z czego o mało nie wynikła gruba awantura. W Pradze niebawem chłopak wzburzył kolegów, aby nie kłaniali się jednemu z profesorów, który miał zwyczaj nie odkłaniać się uczniom. Gorzej było, gdy Rieger poważył się na lekcyach poprawiać na lekcyi suplenta B., gdy ten niebiegły w nauce robił grube błędy geograficzne i historyczne. Wynikła z tego taka awantura, że sam Jungmann nie mógł sobie dać rady i musiał, aż matkę wezwać do Pragi. I byłby przyszły wódz narodu sromotnie wyleciał z gimnazyum, ale matka zażegnała całą burzę, nakłoniwszy go, aby pana suplenta przeprosił. „Pani mamo, tylko dla was to zrobię, że tego osła przeproszę,“ powiedział śmiały młodzieniaszek.

Tymczasem córka Rezinka, jak ją dla różnicy od Terinki t. j. matki ojciec nazywał, wyrosła na prześliczne, wysmukłe dziewczę z bujnym czarnym włosem i iskrzącemi się niebieskiemi oczyma. Ze wszech stron garnęli się zalotnicy, najwięcej synkowie z wielkich młynów, ale rodzice, bojąc się, że praca przy młynie może być za ciężką dla córki, wybrali jej ubogiego urzędniczka sądowego z Królowej Dworu, Wacława Machaczkę, który później został sędzią okręgowym w Libaniu. Był to dla zamożnej młynarczanki do pewnego stopnia mezalians, bo w Czechach stan urzędniczy klasie przemysłowej i rolniczej bynajmniej nie imponuje.

Właśnie na ten czas r. 1837 Rieger skończył drugi kurs filozofii i pragnął studyować prawo. Ojciec chorował już na chorobę płuc, podupadł na siłach i potrzebował pomocy i wyręczenia. Za nic w świecie nie chciał ustąpić od swego planu, aby młyn oddać synowi. Sprowadził go do domu, wyzwolił na majstra cechu młynarskiego i zaprzągł do roboty. Rieger jednakże za wiedzą matki po cichu zapisał się na słuchacza prywatnego prawa i wieczorami przygotowywał się do egzaminu. Gdy przyszedł czas właściwy, mianowicie koniec półrocza, matka pod pozorem interesu wyprawiła na egzamin do Pragi. Z drugiej takiej wycieczki przywiózł zdumionemu ojcu świadectwo ze skończenia pierwszego kursu prawa.

Teraz już stary Rieger nie opierał się dłużej, ale za to matka musiała zastąpić syna i być ową pomocnicą i wyręczycielką, czego tak bardzo schorowany młynarz potrzebował. A w młynie był huk roboty; stał on tak szczęśliwie przy górskiej rzece Izerze, iż setki wozów czekało ze zbożem, albowiem choć gdzieindziej młyny milczały dla braku wody, tutaj nigdy jej nie brakowało.

Pani młynarka miała też kłopotu niemało, trzeba było wielkiej baczności, aby gwałtowna woda szkody jakiej nie sprawiła, zwłaszcza w zimie, gdy należało rozbijać i przerąbywać lody. Sama doglądała tych ważnych robót, choć nieraz przemarzła do szpiku kości, a dobrzy ludzie ostrzegali ją, a nawet proboszcz łajał, aby dała pokój wszystkiemu, bo kiedyś na swoją zbytnią gorliwość gorzko płakać będzie.

I rzeczywiście przepowiedziano jej ciężką chorobę, która pracowitą niewiastę z czasem do końca życia trapiła.

Franciszek, pragnąc poznać i obce uniwersytety, na drugi rok prawa udał się do Wiednia, ale na kurs trzeci i czwarty powrócił do Pragi, aby mógł co pewien czas dojeżdżać do chorego ojca. Stary pan Rieger niknął niemal w oczach, coraz bardziej kaszlał i pluł krwią, a pewny śmierci spokojnie na nią czekał z tą dziwną rezygnacyą, z jaką chłop słowiański kresu żywota wyczekuje. Tymczasem pani Teresa we wszystkiem chorego męża zastępowała, pełniła podwójne obowiązki młynarza i młynarki, gospodarza i gospodyni.

W kwietniu r. 1841 stan chorego pogorszył się tak znacznie, iż matka wezwała syna do domu. Chory, przyjąwszy święte sakramenta, wyczekiwał ostatniej chwili. Spostrzegłszy, że żona i córka wyglądają niespokojnie, czy Franciszek nie przyjeżdża, uspokajał ich, mówiąc: „Nie bójcie się, ja poczekam na niego.“ Rzeczywiście syn przyjechał. Rano 16 kwietnia kazał wszystkim iść do kościoła i modlić się za siebie. Gdy ruszyć się od niego nie chcieli, mówił im: „Ależ idźcie... ja poczekam.“ Po powrocie z kościoła wezwał całą rodzinę do siebie, dał im ostatnie rozporządzenia, potem wszyscy poklękli, on pobłogosławił każdego z osobna, padł na poduszki i skonał.

Po skończeniu żałoby do wdowy, lubo już czterdziestoletniej z górą, ale jeszcze pełnej życia, dzielności i niesłychanie miłej, poczęli zgłaszać się zalotnicy, każdy jednak z niczem odchodził. Pani Teresa miała w pogardzie kobiety, które drugi raz za mąż się wydawały. W okresie żałoby otrzymała okropną wiadomość, że syn jej został aresztowany. W Semilach plotki rozdęły wieść tę do niemożliwych granic, doszło do tego, że prawiono, iż młody Rieger postawił swą kandydaturę do tronu czeskiego i za tę zbrodnię stanu zostanie powieszony lub na całe życie osadzony w Spielbergu. Tymczasem był to drobny zatarg z policyą o ogłoszenia po czesku o balu narodowym, a cała rzecz skończyła się wypuszczeniem więźnia stanu na wolność, ale już po balu, aby mu czasem koledzy owacyi nie wyprawili. Riegra najwięcej bolało to, że poczciwa matka tyle się o niego nakłopotała.

Niebawem drugi cios uderzył w serce matczyne, młodzieniec, który czynny brał udział we wszelkich owoczesnych agitacyach narodowych, zaziębił się, a potem zaniedbał początki choroby płucnej, dostał silnego krwotoku. Wyprawiano go do Włoch, lecz młody Rieger, aby nie sprawiać matce niepokoju, pozostał w Czechach. Po kilku latach r. 1847 otrzymał stopień doktora praw, a na uroczysty akt promocyi przybyła pani Teresa i w wielkiej auli w Corolinum zasiadała wśród całego patryotycznego towarzystwa praskiego, które tłumnie się zeszło na akt tak uroczysty.

Po tej pięknej w żywocie młodzieńca chwili Rieger znowu począł pluć krwią, doktorzy więc go na dobre do Włoch wyprawili. Bawił tam jednak nie długo, gdyż w marcu r. 1848 zaszły ważne wypadki i te go do kraju powołały. Ruch wielki panował w ziemiach czeskich, wszędzie budziła się świadomość narodowa i pani młynarka z Semil poczęła czytywać pilnie wydawane przez Hawliczka *Národní Nowiny*, w których ciągle znajdowała wiadomości o własnym synu. Sąsiedzi bliżsi i dalsi coraz częściej przychodzili do młyna po wieści z życia politycznego, o których syn matce pilnie donosił. Ku wielkiej radości pani młynarki Franciszka owacyjnie wybrano posłem do sejmu i do rady państwa. W Wiedniu położenie posłów czeskich stało się bardzo niebezpiecznem, lojalność względem domu panującego naraziła ich partyi rewolucyjnej, Rieger był ścigany i znieważony przez motłoch uliczny, a gdy wybuchła rewolucya październikowa wiedeńska, posłowie czescy znaleźli się na liście skazanych na śmierć przez komitet rewolucyjny i ledwie z życiem uszli. Wiadomości o okropnych scenach wiedeńskich, szczególniej o powieszeniu przez motłoch ministra Latoura wtrąciły panią Teresę w ciężką chorobę.

W tych burzliwych i niepewnych czasach Rieger bawił w Niemczech i Francyi, a tymczasem nikczemne gazety niemieckie podały o nim tendencyjnie zmyśloną wiadomość, jakoby wszedł w tajne stosunki z agentem władzy rewolucyjnej węgierskiej hr. Telekym. W Semilach plotkarze wymyślali najdziksze baśnie, a biedna matka umierała z niepokoju. Dręczyła ją przytem tęsknota za dawno niewidzianem dzieckiem, ztąd skwapliwie przyjechała r. 1850 w zimie wraz z córką do Żytawy na spotkanie syna, który przez Drezno jechał do Wiednia.

Teraz Franciszek pracował nieustannie dla dobra narodu, co zrobiło go pomocnikiem znakomitego uczonego Palackiego, z którego córką ożenił się r. 1853. Spełniły się gorące pragnienia matki, ta bowiem zawsze modliła się o dobrą żonę dla syna. Z synową pani Teresa utrzymywała jak najserdeczniejsze stosunki. Prosta młynarka mało miasteczkowa pisywała do córki najznakomitszego w kraju męża starą pisownią, nieortograficznie, w słowach prostych, ale pełnych zdrowej myśli, gorącej miłości i świadczących o zacnym, szlachetnym charakterze. Wyjątki z tych listów robią na czytelniku wzruszające wrażenie.

W sierpniu r. 1856 ciężka boleść rozdarła serce pani Teresy, jej zięć Machaczka umarł, pozostawiając wdowę z czworgiem dzieci. Machaczkowa sprowadziła się do Semil, gdzie kupiła sobie dom w rynku, aby bliżej być matki. Panią młynarkę i to ciężko bolało, że pani Palacka, którą w listach nazywała zawsze „drogą naszą mateczką,“ zachorowała. W jesieni r. 1859 Palacki odwiózł żonę do Nicei, za nimi pojechała pani Riegrowa z starszą córeczką, a potem i sam Rieger, pani Machaczkowa musiała więc przyjechać do Pragi, aby opiekować się jego synkiem. Jej własne dzieci miała babka na pieczy. Pani Palackiej zdrowie nie wróciło, zapragnęła więc

przyjechać do Czech, ale na samej granicy żywot zakończyła. Wszystko to było źródłem boleści i żałosnych wylewów uczucia dla zacnej pani Teresy.

Z wielką radością teraz witała syna i rodzinę jego u siebie w młynie, gdy przyjeżdżali odwiedzić babkę i użyć świeżego powietrza. Pani Czerwinkowa opisuje ten młyn ze wspomnień dziecięcych, a na tle jego pełną życia, czynną, pracowitą, zabiegłą staruszkę. Gościnność jej była znaną w całem miasteczku, do młyna przychodzili niemal codziennie goście po południu na kawę, której potoki rozlewały się na wielkim stole, okrytym czerwonym obrusem. Przytem i inni, dalsi goście bardzo chętnie do młyna Semilskiego przyjeżdżali, bywało tutaj krewniaków z bardzo rozgałęzionego rodu i Riegrów i Wagenknechtów co niemiara. Na świeże powietrze i dobry wikt zjawiali się nieraz koledzy i przyjaciele syna Franciszka, bywał tutaj kanonik Sztulc, Vrtiatko, późniejszy dyrektor muzeum czeskiego, dr. Podlipski, Trojan, dr. Amerling, Pichl, Tomiczek, dr. Zimmer, dr. Motejlek, który jako geolog robił studya w okolicy Semil. Odwiedzali młyn także ks. Antoni Marek, nestor literatury czeskiej, I. Kramarz wikaryusz z Wysokiego, współpracownik *Słownika* Jungmanna, I. Krejczi, później biskup infułat, i wielu innych.

Przyjeżdżał tu także hr. Kounic; nawet Niemcy nie mijali siedziby patryotyzmu czeskiego, jak na przykład poeta Uffo Horn. Nie gardził młynem Semilskim i sam Palacki, który tutaj częstym bywał gościem i chętnie przemieszkiwał w skromniutkim pokoiku pod strychem.

Ciągłe podnoszenie i zwiększanie młyna było prawdziwą namiętnością pani Teresy—niech tylko synowi jakiś pomysł przyszedł do głowy, jużci ona z cieślami lub mularzami zabierała się do roboty. A potrzebowała zwiększać dochód, bo grosz gonił za groszem, należało bowiem część dochodu posyłać synowi, a co zostało, zjadała szalona gościnność i niewyczerpana dobroczynność zacnej niewiasty. Okolice pod górami Olbrzymiemi są bardzo ubogie, w latach pięćdziesiątych bywał niejeden rok głodu i nędzy, tłumy więc żebraków schodziły się do młyna Semilskiego, w którym pieczono od rana wieczora, a pieczywo rozdawano głodnym i ubogim. A tu jak na nieszczęście dochód zaczął upadać, nastawiano bowiem młynów parowych i te wodnym zarobek odbierały.

Strapiona pani Teresa, która nie miała serca ograniczać się w swej dobroczynności, niejednokrotnie skarżyła się synowi w swych listach, z których wyjątki, przytoczone przez panią Czerwinkową, mimowoli łzy na oczy wywołują. W jednym z r. 1860 pisze: „Miłe dziecię, ani sobie wyobrazić nie możesz, co tutaj za nędza, jak żyję takiej nędzy nie pamiętam. Nie zarobimy tyle, co rozdać musimy... Ciągle idą tłumy z gór, a każdy u nas się zatrzyma. Ci ludzie mają popuchłe nogi i czuć ich jakby cmentarzem. To nędza, Boże, Ty sam to zmień jakoś i Boże, Ty sam pociesz tych ludzi, nikt inny im pomódz nie może.“

A należy tutaj dodać, że w górach mieszka więcej ludu niemieckiego niż czeskiego i więcej go też nędzę cierpi. Patryotka czeska w młynie Semilskim różnicy między narodowościami nie czyniła!

Przy tych troskach i kłopotach przyszła choroba, na którą zabiegliwa niewiasta od tylu lat pracowała—pojawiły się bóle reumatyczne i artretyczne, jak to jej już dawno przepowiadano. Pomimo to, lubo często gęsto się pokładała, pani Teresa nie przestała być czynną, oględną gospodynią i niewyczerpaną w dobroczynności filantropką. Choć jej ból dokuczał, zrywała się nawet w nocy, aby zarządzić to naprawę grobli, to przerąbywanie lodu, to inne roboty. Syn czuł, że matce należy się już odpoczynek, dla tego robił starania, aby młyn sprzedać, lubo kupca nań znaleść nie było łatwo. Tymczasowo w czerwcu r. 1861 wyprawił matkę do Teplic, a z nią razem córkę swą Albinkę, aby miała koło niej starania.

Teplice ulgi chorej nie przyniosły, ale zażyła tam wiele chwil pociechy i radości. Bawiący na kuracyi Czesi ciągle okazywali jej oznaki czci jako matce tak zasłużonego i słynnego męża. Listy od syna, wieści o nim w gazetach, wiadomości ustne o adresach mu składanych i owacyach, które go spotykały, pobudzały szczęśliwą matkę do łez z radości, że jej Bóg dał takiego syna. Nieraz z niewysłowioną błogością i dumą mówiła: „To prawda mam syna, że mało która matka takim szczycić się może.“

Nareszcie r. 1862 we wrześniu Rieger sprzedał młyn i kupił sobie dostatnie gospodarstwo w Malczu. Pani Teresa wyjechała do Pragi do syna, a żal sąsiadów, płacz i narzekanie ubogich najlepiej świadczyły o tem, czem była młynarka Semilska w okolicy. Teraz mieszkała w zimie w Pradze, w pokoiku z oknami, wychodzącemi na ogród, w lecie w Malczu na gospodarstwie synowskiem. Doglądała jej Agnieszka, uboga krewniaczka, która od lat dziecięcych we młynie służyła. A potrzeba było silnej i zręcznej dozorczyni, bo biedna staruszka nieraz leżała jak bezwładna, a gdy ją trzeba było poruszyć, z bólu aż krzyczała. Opuchłe ręce i palce coraz bardziej władzę traciły. Gdy jednak trochę jej się ulżyło, kazała się ubierać i siedziała na łóżku, a latem nawet znoszono ją do ogródka i w wózku wożono.

Pokój jej stał się środowiskiem życia rodzinnego,tutaj przesiadywały wnuczęta, córka, synowa, przychodzili goście, starzy przyjaciele rodziny, księża, których zawsze ze czcią przyjmowała, ona wszystkich witała dziwnie miłym anielskim uśmiechem. Nieraz odwiedzał ją stary Palacki i on, mąż wielkiej nauki i czynności politycznej, zawsze znalazł coś do mówienia z prostą młynarką, a jeśli nie mówili ze sobą, to się oboje, starcy nad grobem, słodko do siebie uśmiechali.

Pomimo straszliwych bólów nie straciła swego humoru i nieraz powiedziała coś bardzo dowcipnie, czasami nawet dotkliwie przycięła. Gdy kto przy niej jakie słówko niemieckie wymówił, prawiła: „Dzieci, nie szwargotajcie po niemiecku, bo będzie deszcz padał.“

Kazała sobie nieraz coś czytać, ale zwykle książki treści religijnej, albo coś z gazet, na beletrystykę gniewała się niepomiernie. Ona, biedaczka, nie zaznała nigdy romantyki miłosnej i z oburzeniem słuchała sentymentalnych historyjek lub narzekań erotycznych. „Despekt,“ mówi jej biografia, „z jakim mówiła o szaleństwie zakochanych, płynął nie z oschłości serca, ale z poważnego poglądu na życie, był w nim raczej kawałek purytanizmu moralnego.“ Co się tyczy dóbr ziemskich, ceniła je, ale dla tego jedynie, że ułatwiały możność robienia innym dobrze.

Jakiem życie, taką była i śmierć Teresy Riegrowej! W grudniu 1868 tak się jej pogorszyło, że przyjęła święte Sakramenta. Przeżyła jeszcze kilka tygodni i zasnęła cicho 14 lutego 1869 r. Przewieziono ją z Pragi na prowincyę i pochowano w Modletinie, gdyż Malcz należy do tej parafii. Nabożeństwo żałobne odprawił w Pradze przyjaciel nieboszczki biskup infułat Krejczi wobec bardzo licznie zgromadzonej publiczności.

Zaiste mężna niewiasta, godna czci i pamięci wieków! Gdyby nie nadawać większego znaczenia jej cichym cnotom domowym, to jedno to musi jej być poczytane na karb wiekopomnej zasługi, iż ona sprawiła, że naród czeski, zamiast zamożnego i zabiegłego młynarza, pozyskał dzielnego, prawego, zacnego i szlachetnego przywódcę swego ruchu narodowego, przywódcę, który doznał zarówno uznania ze strony narodu, jak i zaufania monarchy.

Bronisław Grabowski.

NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg).

XII.

Janina mało spała tej nocy. W głowie jej chaos panował nieopisany; bała się, śmiertelnie się bała o Romana... a jeżeli on naprawdę zachoruje? takie uderzenia w głowę bywają czasami niebezpieczne! Do późnej godziny tą jedną tylko myślą zajęta, nadsłuchiwała czy spokój panuje w domu, czy mu na ratunek nie spieszą... Słuchała i modliła się... obiecała modlić się za jego zdrowie i... szczęście.

Szczęściej... czy to prawda wszystko to co się stało? czy to prawda, że on ją kocha? Czy to być może? zkąd to się wzięło? a ona, czy mogła się spodziewać, że on jej będzie tak drogi!... ach, tak! jest jej tak drogi, żeby życie z rozkoszą dała za niego... Na myśl o nim, o Romanie, serce jej podnosi się w łonie a oddech się zapiera... tak błogo i tak rzewnie zarazem.. Jaka ona szczęśliwa... więc to, to jest szczęście? szczęście tak wielkie—że aż boli!

Nagle, myśl straszna strzeliła jej do głowy! a ta miłość, o której jej wspominał? to przywiązanie, które stanęło na zawadzie starania się o Kamillę? którą z nich on zdradza, on? nie! to niepodobna! Roman zdradzać nie może, nie umie, nie jest zdolny... jedno tylko przypuścić można: litość podyktowała mu czułe wczorajsze wyrazy... litość dla biednej, opuszczonej sieroty, którą wszyscy pogardzają, poniewierają... nic, tylko litość... A może... a może... on ją bałamuci? Natalia mówiła...

Janina wyskoczyła z łóżka i chwyciwszy się za głowę, zaczęła biegać po pokoju.

Dzień się już robił, cudowny letni dzień, wstawał cicho rozkosznie, pośród woni kwiatów, błyszczącej rosy na drzewach i murawie... Lekkie różowe chmurki przebiegały szybko po błękicie, śpiesząc gdzieś daleko, w tajemniczą krainę, z radośną zapowiedzią, że słońce wnet wstanie.

Janina otworzyła okno i wzburzona, udręczona, znowu modlić się zaczęła...

Modlitwa i łzy grube, spływające zwolna po twarzy, ulgę jej zrobiły. Skarżyła się Bogu, że jest samą na świecie, że nie ma nikogo o radę, pomoc, uspokojenie poprosić—i oto, modląc się, przypomniała sobie, że jest niedaleko pewna zacna a życzliwa jej dusza, której doświadczenie wesprzeć ją potrafi... Tak! jak się tylko rozwidni, ona pobiegnie do panny Olimpii—w szkolnym domku wcześnie wstawano do pracy! a potem... potem, musi rozmówić się z Romanem...

Zdziwiona była służba, gdy panienka ich dziś wcześniej jak zwykle pobudziła, ubrana zupełnie—powydawała ze spiżarni i zadysponowała obiad.

O pół do szóstej już była u panny Olimpii.

Zacna przyjaciółka serdecznie wysłuchała zwierzeń młodej dziewczyny i serdecznie także z nią się spłakała... Żal jej było mimowolnie biednego Władzia...

— Jakąż radę mogę ci dać, drogie dziecko?—zakończyła. — O ile znam pana Bronimirskiego, wiem, że jest prawy i szlachetny... oszukiwaćby ciebie nie chciał. To jedno tylko sobie pamiętaj, żeby nie poddawać się nadto uczuciu, które tak potężne—jak uważam, zajęło miejsce w twojem sercu... Kto wie co się stać może! gdyby jaka zmiana w nim nastąpiła, powinnaś się pilnować żeby mieć dość siły na zniesienie zawodu... Niech cię Bóg prowadzi, drogie dziecko! niech ci da szczęście, którego jesteś wartą!...

Pokrzepiona nieco, nie tyle słowami co współczuciem i serdecznością panny Olimpii, zawróciła się Janina w drogę z powrotem do domu. Zmęczona była wszystkiemi wrażeniami od wczoraj i bezsenną nocą, tak zmęczona, że sił jej brakło. Ale ławek dużo było w parku, więc przysiadła na jednej z nich i oparła znużoną głowę o stojące po za nią drzewo. Myślała nad tem, kiedy zobaczy Romana, i czy go dzisiaj zobaczy?... może chory?... broń Boże!... to by straszne było, najstraszniejsze...

Godzina była wczesna; ósma dopiero. W Żarnkach wstawano późno, hrabina koło dziesiątej dopiero schodziła na śniadanie, miała więc czas biedna Janina oddawać się smutnym swoim rozmyślaniom. Jakże jej się rzadko zdarzało siedzieć tak bezczynnie jak w tej chwili! właściwie i dziś czasu nie miała... powinna dozorować smarzenia konfitur; ale mniejsza o to! Tu tak pięknie, a ona taka zmęczona, że myśleć już nawet nie może...

Nagle... czy jej się zdawało? wysoka jakaś męzka postać przemknęła między drzewami, dążąc w tą stronę... Czy być może, żeby to był Roman?

Boże, to on! serce Janiny silniej zabiło i poczuła w sobie moc dziwną... znikło od razu zmęczenie i osłabienie. Wybiegła z za drzew na jego spotkanie, zarumieniona, z błyszczącemi oczyma.

— Pan!... to pan!...—zawołała wyciągając obie ręce, szczęściem nagłem przejęta, że widzi go zdrowym.

Przyciągnął ją za ręce, które przycisnął do piersi i utonął długiem, pełnem niepowściąganego już uczucia spojrzeniem, w jej oczach.

— Żałuję teraz, — rzekł miękkim, głębokim tonem,—żem pierwej nie rozbił sobie głowy... wcześniej miałbym to szczęście, do którego tak tęskniłem...

Ona już się upamiętała po pierwszem uniesieniu i mieniła się pod jego wzrokiem.

— Nie boli... ta głowa biedna?—spytała cicho.

— Przestała..... kiedym panią zobaczył, — odrzekł zawsze tym samym tonem. — Szukam pani od godziny... Czułem, że pani gdzieś tutaj znajdować się musi...

— Byłam u panny Olimpii... — odparła i szła zwolna do opuszczonej przed chwilą ławki.— Chce pan usiąść na chwilę?—dodała nieśmiało.

Tak bardzo była onieśmieloną, że głos jej drżał a oczy trzymała spuszczone do ziemi.

— Czemuś taka przestraszona, moja najdroższa?...—rzekł i chciał przygarnąć do siebie, jak skarb drogi, ale ona cofnęła się i podniosła smutne oczy z wymowną prośbą, jak wczoraj.

— Moje szczęście...—szepnął i w upojeniu złożył ręce jak w modlitwie.

Janina usiadła i przetarła oczy dłonią i westchnienie głębokie z piersi jej uleciało.

— Więc to prawda?... to nie był sen, wszystko to co wczoraj przeżyłam...

Roman zabrał miejsce obok niej i zaczął mówić. Opowiedział jej wszystko; swoje zrażenie do kobiet—nie wyjawił jednak nazwiska tej, która była tego przyczyną—swoją niewiarę, początek uczucia dla Janiny, który starał się zwalczyć szydząc sam z siebie i z drugich, próby na jakie ją narażał, męki własne i katusze... wszystko.

— Co ja przeszedłem, co przecierpiałem przez ten rok cały!... poznałem wszystkie uczucia dodatnie i ujemne, jakich tylko człowiek doznać może... i czekałem ciągle, czy twoje serce nakłoni się ku mnie...

Serce Janiny rozpływało się w szczęściu, o jakiem dotychczas pojęcia nie miała... zdawało jej się, że została nagle przeniesioną z Żarnek w kraj inny, rozkoszny, nie z tego świata...

— Ja... ja?—szeptała, — takiego szczęścia dostąpiłam?... czyżem go warta, Boże mój!

Nie myślała w tej chwili o żadnych ziemskich rzeczach, nie przyszło jej do głowy, że on pan wielki, bogaty, a ona biedna .. ona tylko radowała się tem uczuciem potężnem, które mówiło do niej z jego oczu i duszę jej pociągało.

Nieśmiało, delikatnie ujął jej rękę, prosząc o pozwolenie oczyma...

— Nie broń mi tej pieszczoty... — błagał. — Gdybyś wiedziała jak jestem jej spragniony, jak wytrwale i mężnie odmawiałem jej sobie... Byłaś okrutną dla mnie nieraz, pamiętasz? - dodał z uśmiechem, pochylając się ku niej. — Tak się bałem nieraz, że nienawiść będzie jedynem uczuciem na jakie zasłużę... Powiedz mi, powiedz, najdroższa moja, marzenie moje!... powiedz, że kochasz tego wroga, że pragniesz być mojem szczęściem, moją żoną!...

Pochyliła głowę nizko na piersi, bo palił ją płomień jego spojrzenia... Pragnęła także mówić, mówić długo, zadawać pytania... ale nie mogła się zdobyć na słowa! Potężna wiara w prawość tego człowieka przejmowała ją do głębi duszy, a miłość parła całą jej istotę ku niemu.

— Jeżeli pan zechcesz...—rzekła tak drżącym od wzruszenia głosem, że prawie niewyraźnie,— będziesz miał... żonę... która ciebie nad życie kocha...

Pochylił czoło i oczy zakrył sobie jej dłonią. Siedział tak długo skupiony w sobie, hamując gwałtowne uczucia gotowe wybuchnąć. Kto by miał mu za złe, jeżeli by pochwycił w objęcia swoją narzeczoną i okrył pocałunkami? a jednak tego nie uczynił; była mu świętą... Gdy po długiej chwili podniósł głowę, w zamglonych oczach znać było ślady walki, którą stoczył, ale rysy szlachetnym wyrazem opromieniały.

— Nie będziemy długo zwlekać z upragnioną chwilą, prawda, moja Janinko? — rzekł, starając się mówić spokojnym głosem.

Janina się wstrząsnęła i spojrzała trwożnie na niego.

— Ach!... ciotka pana!... ojciec!... — zawołała, jakby przypominając sobie nagle, że nie ich dwoje samych tylko było na świecie.

Roman uśmiechnął się rzewnie i delikatnie położył rękę na jej ramieniu, ruchem opiekuńczym.

— Niech się moja narzeczona tem nie troszczy,—rzekł poważnie. — Ja sam biorę na siebie wszystkie kłopoty... Twoją rolą na teraz jest być zupełnie szczęśliwą i spokojną... obiecujesz mi, że nią będziesz?

— Nie!—rzekła po raz pierwszy od tej rozmowy trochę swobodniej. — Nie chcę, żeby kłopoty waliły się na pana... nie będę wtedy ani spokojną, ani szczęśliwą.

— Anielska istota moja!... — szepnął tonąc oczami w jej oczach. — Och, jak ja ciebie kocham! jak kocham, bez pamięci...

Chwycił się za głowę i mimowolny wyraz bólu zmienił mu rysy.

— Boże mój! — zawołała Janina z trwogą,— pan cierpi... i nic nie mówi!... Panie Romanie!— dodała pieszczotliwie, nadając mu po raz pierwszy w życiu tę nazwę.

— Nie, nie... to przejdzie...—mówił z wysileniem. Chłodną jej dłoń przyłożył do czoła i siedział z zamkniętemi oczyma, a ona drżała, czując pod ręką mocno bijące pulsa...

— Pan pójdziesz do swego pokoju, położy się pan... prawda! ja przyszlę lodu... będzie pan przykładać? obiecuje mi pan... niech mi pan przyrzeknie!... ja taka nieszczęśliwa będę...

Mówiła prawie przez łzy, pochylona nad nim, przykładając jedną to drugą rękę do jego czoła, w miarę jak ona stawała się gorącą od rozpalonej głowy; czyniła to z prostotą, naturalnie przychodząc mu z pomocą, jaką dać mogła w tej chwili.

— Obiecuję wszystko,—szepnął, — wyrzeknę się twego widoku na dzień cały, będę przykładał lód—a nawet rozżarzone węgle—byleś była spokojną... skarbie mój złoty.,. Mnie nic nie jest, nic nie będzie... silna migrena, nic więcej! ..

— Może pan wstać? lepiej panu?...

Wstał i chociaż widocznie głowa szalenie go bolała, zapóźniał się z pożegnaniem z Janiną; trudno mu było rozstać się z nią! aż ona wyrwała się z namiętnych jego uścisków i pobiegła naprzód...

Przed domem spotkała przechadzającego się księcia i podbiegła do niego.

— Niech pan weźmie w opiekę pana Romana!—rzekła szybko, z dziwną śmiałością, zapominając, że on książę, pamiętając tylko, że jest przyjacielem Romana,—on tu idzie... niech mu pan każe się położyć... chory jest!... Ja natychmiast przyszlę lodu na okłady... Przepraszam księcia!—dodała nagle składając ręce, onieśmielona, przestraszona tonem i słowami własnemi.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko; — odrzekł książę z dobrocią. — Roman nie potrzebnie wychodził tak rano... mówiłem mu. Ale nie obawiaj się pani! będę go pilnował.

Roman ukazał się na zakręcie ścieżki, więc pobiegła prędko po lód.

Wszyscy w domu mocno zaniepokojeni zostali wiadomością przyniesioną przez księcia, że Roman nie wyjdzie dziś ze swego pokoju. Hrabina sama poszła do kuzyna, pytając czy doktora nie wezwać. Ale Roman uspokoił obawy ciotki, mówiąc, że ma tylko silną migrenę i nic więcej nie potrzebuje, prócz spoczynku. Jednak wszyscy byli powarzeni tym wypadkiem, a najwięcej Natalia, która nie miała siły zapanować nad swoim niepokojem i nie mogąc otwarcie wyznać co jej brakuje, była w najfatalniejszym humorze, niecierpliwiła się o lada co, maltretowała wszystkich, a najbardziej Janinę, której przy każdem spotkaniu musiała jakąś słodko— złośliwą zrobić uwagę.

Ta ostatnia, najbardziej zaniepokojona i najgoręcej zainteresowana w tej sprawie, znosiła wszelkie pociski w milczeniu, spełniała swoje obowiązki ze zwykłą pilnością, spokojna na pozór i obojętna.

Wieczorem, wszyscy obecni zgromadzili się w salonie; nudna atmosfera panowała. Natalia droczyła się z Alfredem Walickim, który wykładał jej swoje teorye abstrakcyjno-pesymistyczne, Kamilla w towarzystwie Stanisława Walickiego przechadzała się po pokoju, hrabina ciągnęła pasyans, a Janina, która już skończyła ornat w milczeniu i skupieniu wyszywała zawiły deseń na szarym aksamicie jedwabiami. Z obcych nie było dziś nikogo, nawet Kręckiego.

— Szczególna rzecz jak nam Romana brakuje!—ozwała się hrabina.—Widać jak umie ożywić towarzystwo, kiedy dziś bez niego tak nudno...

— Zdaje mi się, mamo, — rzekła Kamilla, zatrzymując się na środku pokoju, — że to nie dla tego nudno, że on nas dotychczas ożywiał, tylko, że jesteśmy niespokojni o niego...

— No! niespokojni... byłam tam przed chwilą i mówił mi, że mu lepiej, — dodała hrabina. — Dzięki Bogu skończy się tylko na migrenie.

— Może by nam panna Janina coś zagrała?— odezwała się nagle Natalia, przeczuwając, że dokuczy tem młodej dziewczynie.

— Grać?—rzekła Janina, podnosząc głowę od roboty,—ależ nie wiem... czy to panu Bronimirskiemu przykrości nie zrobi...

— Pokój Romana nie tak blizko, — wtrąciła pani Żarnowiecka,—troska twoja nie na miejscu. Kiedy nie mamy do czego ochoty zawsze się znajdzie wymówka.

Bez słowa odpowiedzi, blada, wzburzona usiadła Janina do fortepianu; wybierała jednak same śpiewne, nie hałaśliwe utwory: preludyum Szopena, romans Rubinsteina... to co grała Romanowi, gdy był w Żarnkach owego pamiętnego dnia, zeszłej zimy.

Przez drzwi otwarte do sieni, wsunął się cicho książę i kołując zręcznie, usiadł przy fortepianie koło Janiny.

— Jest ktoś, — mówił do niej cicho, — który poznał rękę pani i wdzięczny jest za tę muzykę...

— Nie drażni go?... — szepnęła, — a ja się tak obawiałam... kazali mi grać!...

— Mówi, że łączy go to z panią, że odczuwa pani obecność... do której mu tęskno, szalenie tęskno!...

— Książę wie...

Fałszywa nuta zadrgała pod drżącemi palcami Janiny.

— Wiem wszystko... jestem starym jego powiernikiem i doradcą... Jesteś prawdziwie, gorąco kochaną... Bądź dobrej myśli, dziecko

drogie. Jemu nic nie grozi, usypia marząc przy twojej muzyce... myśląc o tobie.

Odszedł, przysiadł się do pani Żarnowieckiej i rozpoczął z nią rozmowę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Niewolnice, komedya w 4 aktach M. Bałuckiego.

Autor „Niewolnic“ zyskał ogromną popularność, w dziejach teatru naszego imię jego zbyt wyraźnemi zapisało się głoskami, aby cokolwiekbądź mogło go strącić z tej wyżyny, na której stanął. Oczywiście, że wyżyny są rozmaitej wysokości i Bałucki nie ma wcale i nie miał pretensyi do zapanowania nad niemi, stanięcia na szczycie szczytów.

W sztuce dramatycznej odróżniamy trzy jej rodzaje: Tragedya, dramat i komedya, do której jeszcze należy komedya lekka, zwana—krotochwilą lub farsą. Tragedya jest królowa, dramat wielkim księciem, komedya wesoła ich towarzyszką, krotochwila nadwornym wesołkiem, pobudzającym do śmiechu tłum liczny.

Każdy z tych większych lub mniejszych dygnitarzy ma właściwe sobie zadanie; określone pole działań. Jeden drugiemu w drogę wejść nie może i nie powinien. Przekraczający granicę rozmija się z powołaniem i nie może ujść sądu surowej krytyki. Jakież tedy są zadania każdej z tych sztuk dramatycznych?

Przedmiotem tragedyi są walki dusz bohaterskich, tryumfu i klęski, wzniesienia się na wyżyny lub z tych wyżyn runięcia. Pospolitości tu miejsca niema, łzy nawet usunąć się muszą, gdzie płynie krew. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy,“ woła straszliwa Roza Weneda; nie rozczuli nas kwilenie zdradzonego kochanka, gdy tysiąc serc pęka w walce o szczęście. Dusza ludzka, jej tajemnicza zagadka istnienia, rozpęd w nieskończoność, poczucie siły skrępowanej żelaznemi warunkami, którym się poddać musi, a gdy się poddać nie chce—złamać się musi: są i będą zawsze przedmiotem tragedyi, która słusznie nazwaną została koroną poezyi, o stopień stojąc nawet wyżej od eposu, ze względu na trudność formy, szczupłość ram, granice pewne, których twórcy przekroczyć nie wolno.

Dramatowi w mniejszym można obracać się zakresie. Działanie się w nim rozwija w sposób łagodny, kojący, bez wstrząśnień tragicznych. Najboleśniejszy zresztą dramat, jeśli się odgrywa wśród czterech ścian tylko i na zewnątrz nie wybiega strugami krwawemi, nie porusza piersi tysiąca, tysiąca serc nie ogarnia, gdy róże tylko więdną, lecz lasy nie płoną: niema prawa ubierać się w majestat tragedyi, którą obchodzi los świata, nie złamanie się jednostek, dusza ludzka,—mniejsza, czy mająca w sobie moc boską, czy demoniczną potęgę.

Inne całkiem jest zadanie komedyi—mówimy tu o jej wyższej formie, tak zwanej *komedyi poważnej*.

Krom zasady, której nie wszyscy może hołdują, lecz której bezwzględnemi zwolennikami zostajemy — że: *sztuka dla sztuki*, morał (jeżeli już koniecznie morału chcemy) bez żadnego nacisku ze strony autora wypłynie sam przez się z rzeczy dobrze zbudowanej. Lecz zadanie jego jest podrzędne—*piękno* zastępuje tu nam wszystko. Dramat czy komedya ten chryzmat piękna muszą na sobie nosić—inaczej, zdanie: sztuka dla sztuki—źle zrozumiane, może łatwo wejść z estetyką w sprzeczność.

Komedya jest uosobieniem wesołości—a któż wesołości nie lubi?—Jest to figlarka, podpatrująca nas przy każdej czynności. Rozmawiamy z przyjacielem, szepcemy coś na ucho kochance, w samotności snujemy jakieś wielkie plany na przyszłość: ona do rozpuku się śmieje z zapewnień przyjaźni, z westchnień miłośnych, z potężnej budowy zamiarów naszych.

— A kto ci dał prawo, pani, do tego?

— Wy sami, kochankowie moi—wy sami, odpowiada figlarka. Znam was wszystkich, jak szeląg złamany, nadęte pęcherzyki próżności, zapatrzeni w źwierciadełko pochlebstwa.

I wsuwa się do małżeńskiej alkowy, do gabinetu dyplomaty, kładzie się na pierś mędrca przebudowującego urządzenie świata, do zasłyszanych słów bezmyślnej przysięgi dorzuca swoje: nie prawda! zawstydza czoło wiarołomcy, poufale po ramieniu klepie ubranych w birety doktorskie, wreszcie nam wszystkim pokazuje źwierciadło prawdy, w którem nierzadko i—ośle uszy dojrzymy.

Komedya jest nieustanną towarzyszką w naszem życiu codziennem. Starszym braciom zostawia wielkie zagadnienia świata, choć nieraz sama potrącić może o brzeg pewnych zadań społecznych.

Rozwiązywanie ich jednak nie jest zadaniem sztuki.—Pod tym względem wszelkie próby się nie udały. Z góry postawiony morał zawsze szwank poniósł; nie nauczono niczego, a artystyczne piękno okulawiało zawsze. To też komedya zrzeka się roli mentorki. Dość dla niej, gdy w świetle rzeczywistem przedstawi śmieszności nasze, wielkie słowa niecierpiące nigdy na poród czynów, czyny zostające w sprzeczności ze słowami, jakąś sprawę doniosłego znaczenia traktowaną *per nogam*, Katonów o własnościach chorągiewki na dachu, szarych wróblów w orle strojących się pióra, zapoznanie tych, którzy przebojem idą przez kolce życia, a niskie, pełne uszanowania ukłony tym, którzy kiwnięcia palca nie warci są nawet.—Zebrawszy to wszystko wiąże jej komedya intrygą misterną i daje pełny obraz człowieka w otoczeniu codziennych warunków życia, takim jakim jest, z domówieniem małem, że mógłby być innym. To domówienie robimy sami sobie, za jej podszeptem tylko. Śmiejemy się z nas samych, a w duszy się budzi jakaś chęć poprawy, jakaś dążność do czegoś lepszego.

Dwa są rodzaje komedyi: komedya intryg i charakterów. Doskonałe połączenie tej dwójki dało by nam arcydzieło. Najczęściej jednak inaczej się dzieje. Intryga zabija charaktery, wyrzeźbianie zaś tych ostatnich dzieje się kosztem intrygi. W dramatycznej literaturze naszej wybornych mamy kilka komedyj charakterów—dość wspomnieć: „Śluby panieńskie“ „Pana Damazego“ i „Nasi Zięciowie“—na intrygę *sui generis* nie zdobyliśmy się.

Jakkolwiek głównym celem komedyi jest wesołość—nić poważna, od początku do końca, w niej się przewija. Z bólu i śmiechu składa się życie nasze; tylko, gdy życie najczęściej się bólem kończy, komedya na rozwiązanie śmiech wybiera.

Czego innego wymagamy od komedyi lekkiej, krotochwili właściwej. Rzeklibyśmy, że o ile komedya jest przeciwstawieństwem dramatu, o tyle krotochwila przeciwstawieństwem tragedyi.—Przedział pomiędzy pierwszemi jest krok lub dwa—między drugiemi—sięgający w nieskończoność.

W tragedyi wzniosłość, w dramacie powaga, w komedyi wesołość, w krotochwili śmiech pusty panują.

To też w tej ostatniej skarykaturowanie nawet postaci nie jest karygodnym. Ostrze krytyki stanowczo usunąć się musi jeżeli homerycznym wybuchniemy śmiechem. Mniej nas tu obchodzi prawdziwość przedstawionych charakterów, niż umiejętność przeprowadzenia intrygi. Zadaniem krotochwili jest humor i komiczność plączących się wypadków, duszą—fabuła. Krotochwila nie powinna wchodzić w prawa komedyi, tem bardziej stroić się w morał. Upierzenie podobne na złe jej zawsze wyjdzie, tem gorzej, gdy zechce roztrząsać jakąś sprawę donioślejszego znaczenia. Komedya *może* jej dotknąć, farsie *nie wolno*. Jaki pan taki kram być musi, a według stawu grobla. Dramat nazwany tragedyą, a krotochwila komedyą, nie uratują autora od sądu krytyki, jeżeli by ta zechciała ściśle przytrzymywać się przywiązanych do nich prawideł.

„Niewolnice“ Bałuckiego nazwane zostały komedyą—mimo to rościć pretensyi do komedyi nie mogą. Za dużo tam jest szarży, zadużo przesady, ażeby mogły wyjść za granicę farsy. I gdyby autor trzymał się ściśle ram farsie właściwych, nie mielibyśmy mu nic do zarzucenia. Podziękowalibyśmy za kilka godzin wesołości i rzecz skończona. Ale w „Niewolnicach“ autorowi zechciało się roztrząsać kwestyę emancypacyi kobiet.—Zasilny położony nacisk na tę sprawę popsuł rzecz całą, bo—oczywiście—kwestya roztrzygniętą nie została, ostrze pocisku nie dosięgło celu, a sztuka wyszła niesmaczna.—Bez tej kropki nad *i* farsa Bałuckiego zamierzonemu odpowiedziałaby celowi, jaki każda krotochwila stawia sobie.

Nie zamierzam tu wcale występować z krytyką, lecz że niektórzy twierdzą, iż autor „Niewolnic“ nic innego od nas niechciał prócz śmiechu, nie stawiając wcale jakichś wyższych zagadnień do rozwiązania,—a śmieliśmy się szczerze—musimy odrobinę sprzeciwić się temu, albowiem szydło z worka, czyli główna myśl farsy, zanadto wyraźnie ostrze swe pokazało.—Prócz śmiechu, co jest jedynem jej zadaniem, a dodajmy dokonanem z całem mistrzowstwem takiego znawcy sceny, jakim jest Bałucki,—plącze się nitka, bądź co bądź, palącej kwestyi społecznej, której w krotochwili, bez szkody dla niej samej, nie radzi byśmy widzieć.

Niewolnicami są oczywiście niewiasty, kobiety zamężne, utyskujące na tyraństwo swoich małżonków, pozbawione praw, których się natarczywie dobijają.

To niewolnictwo pojęte jest oczywiście w sposób ironiczny przez autora, pojęte tak, jak w farsie wolno jest pojąć, albowiem nieszczęśliwe i udręczone żony przez swoich panów—mężów, są w rzeczywistości paniami i dręczycielkami swoich małżonków, którzy, mimo buńczucznych min, pokręcania wąsów i sadzenia dyabłami—są znów potulnemi trusiami w domu, pantoflarzami i gamajdami, nieumiejącemi wydobyć się z pod samowładzy niewieściej.

Narzekające na niewolę—rządzą, zaprzęgający w niewolę—służą.

Oto prawda, jaką nam farsa pana Bałuckiego podaje.

Jest li tak, czy nie jest — mniejsza o to. W przesadzie nawet dużo się rzeczy prawdziwych kryje, wiadomo zresztą wszystkim, że nigdzie tak nie służą na łapkach przed małżonkami swojemi, jak u nas. Przecie i nasz król Jan, „co bił Turki i Tatary“ na paluszkach chodził przed swoją Marysieńką.—Wszystko w porządku, śmiejemy się z niedorajdów, śmiejemy się z „niewolnic“ pragnących wydobyć się z pod rzekomego tyraństwa mężów.

Rzecz się dzieje w małem galicyjskiem miasteczku, dokąd także powiały *nowe prądy* i zakusy emancypacyi, przyjmującej nowe miano—feminizmu. Chodzi właśnie o wybór dyrektora do kassy oszczędności i najwięcej ma szans za sobą Karol Milicz, którego kandydaturę stawia rada nadzorcza i—sam pan Burmistrz Grzmotnicki, człek prawy, a sądzący dyabłami—jest za nim.

Pan Karol, znany z uczciwości i wszelkie posiadający kwalifikacye na stanowisko dyrektorskie, przybył do prowincyonalnego miasteczka z Krakowa, zraniony przez strzałę kupidyna, kochał się w pięknej wdowie, pani Wandzie Oleckiej, był jej narzeczonym nawet, ale zaszło między kochankami nieporozumienie pewne, które złote rozwiało marzenia. Pani Wanda hołdowała emancypacyi—pan Karol stanowczym był jej przeciwnikiem. Ztąd wynikały dysputy, nieporozumienia, aż wreszcie oświadczyła mu pani Olecka, że drogi ich tak się rozchodzą, iż nigdy nie mogą się spotkać. Daremne były wszelkie namowy i błagania—emancypantka chciała być równą mężczyźnie, czego on uznać nie chciał. Pani Wanda została więc w Krakowie, a pan Milicz z głęboką raną w sercu postanowił w prowincyonalnem miasteczku się zagrzebać, gdzie—dawszy się poznać i zawiązawszy tu i tam przy-

jacielskie stosunki, wysadzony został na przyszłego dyrektora kasy oszczędności.

I wszystko poszłoby dobrze, ale od czego Pan Bóg niewiasty stworzył?

Jedna z „niewolnic“ pani Aurelia Filatyńska, dowiedziawszy się o kandydaturze Karola Milicza, postanowiła nie dopuścić do tej herezyi.

Dla czego?

Powód paradny!

Pani Aurelja znała od dawna nowego kandydata, bywał u niej w domu i—nie starając się wcale—pozyskał gorące uczucie pani Filatyńskiej, lecz gdy ta w zapomnieniu rzuciła mu się w ramiona, on—on śmiał afekta jej skierować—w stronę męża! Tego się nie wybacza i oto „niewolnica“ niebo i piekło porusza, by kandydaturze pana Karola w poprzek stanąć.

Wymowna niewiasta, zrażona tak słusznie do rodu męzkiego, pociąga za sobą parę innych jeszcze niewolnic: Sabinę, żonę profesora Feliksa a córkę pana burmistrza i Kamillę, niewolnicę doktora Dmuchalskiego, zarozumialca w swej wiedzy i w znajomości odgadywania ludzi z fizyognomii, pana domu, wyprowadzanego raz w raz w pole przez żonę.

Te trzy niewiasty zgadzają się na zamiary pani Filatyńskiej. Poparcia swych mężów są pewne, potrzeba tylko zyskać dla swojej sprawy pana Saturnina, wpływowego dziennikarza, a ojca przestnego Sabiny, by—nie tylko nie popierał kandydatury Milicza, ale głosował za postawioną przez niewiasty *ad hoc* kandydaturę profesora Feliksa, który zajęty swojemi pracami o niczem na świecie nie wie.

Pan Saturnin napadnięty przez niewolnice, flirtowany przez panią Sabinę, trzyma się jednak ostro, lecz widać, że to nie granit i nie wiele potrzeba, by, nad dobro publiczne, uśmiech ładnego buziaka przeniósł.

Tu w pomoc rozszastanym niewiastom przychodzi przybycie pani Wandy Oleckiej, ktora ma zamiar wystąpić z odczytem o emancypacyi kobiet.

Pani Wanda jest osobą taktowną, a jakkolwiek obałamucona emancypacyą, pojmuje ją jednak inaczej, niż gąski prowincyonalne. Hołd swoim przekonaniom oddała, zrywając z panem Miliczem; nie stroi się w szaty męzkie, przeciwnie, dba nawet o swój strój i powierzchowność, czem wprawia w zdumienie feministki miasteczka. Pod naciskiem pp. Aurelii, Sabiny i Kamilli, postanawia wpłynąć na p. Saturnina, łasego na wdzięki niewieście, ażeby we wpływowym dzienniku swoim poparł kandydaturę profesora Feliksa.

Dziennikarz, oszołomiony jej wdziękami, dający wiarę słowom pani Aurelii, że pani Wanda *ma się* ku niemu—pali panegiryk profesorowi, mimo dawniejszej z przyjaciołmi umowy.

Słowo dziennikarskie to nie bagatela—ale co jeszcze powiedzą, burmistrz, p. Filatyński, d-r Dmuchalski, sam wreszcie profesor?

To już jest żon sprawa, owych zahukanych niewolnic.

Ale ci panowie wychylili już kielich przyjaźni z panem Karolem. Złamać słowo—niewypada, postawić zaś p. Feliksowi teraz swoją kandydaturę—nie ładnie. Lecz nęcące słówka pani Sabiny o dyrektorstwie zrazu, później o krześle poselskiem do parlamentu, o tece ministeryalnej w końcu, podbijają bańkę ambicyi w profesorze, nie zżymającym się już wcale podstawić stołeczka swojemu przyjacielowi. Mąż pani Aurelii przysiadł odrazu pod hukiem swej niewolnicy, a gdy na zapytanie: co ty masz do tego Milicza? dowiedział się, że Milicz chciał być niby jej kochankiem—oczywiście, że nienawiścią ku niemu zapałał i swojej kreski już nie dał. Kato, w postaci d-ra Dmuchalskiego, wpadł równie w pułapkę kobiet. Niewiasty dowiedziawszy się, że p. Karol jest kawalerem do wzięcia, urządziły wprost procesyę do doktora, by głosował za nim.

Ten atak „bab“ mu się nie podobał, a gdy mu podszepnięto, że Milicz w medycynę jego nie wierzy—z całą powagą zmienia front i postanawia za panem Feliksem głosować, o czem mu napomknęła Sabina przy dość drażliwem opukiwaniu jej piersi, gdy doktór, do chorej niby, wezwany został. Pozostał burmistrz—ale to gwałtownik i skała zarazem. Żona i córka wyrzucają mu brak serca, okrucieństwo i tyraństwo. Następują spazmy, płacze, omdlenia, śmierć prawie, co ostatecznie rozbraja pana burmistrza i wbrew uroczystemu słowu panu Karolowi danemu—głosuje za swoim zięciem. Niewolnice otrzymują na całej linii zwycięztwo, udawadniając, że są rzeczywistemi paniami swych mężów, że—powstawanie na jarzmo mężowskie jest niesłuszne, że wreszcie sprawa kobieca—nie ma racyi bytu.

Tak postawiona kwestya *w farsie* jest szczerze komiczną i odpowiadającą zupełnie zadaniu krotochwili.

Z jednem słówkiem zarzutu nie wystąpilibyśmy przeciwko autorowi, bo dopiął celu—który się wyraża w rozbudzeniu śmiechu w widzach.

Lecz oto znajduje się kropka nad *i*, punkt ciężkości w całej tej komedyi, chęć poważnego traktowania sprawy kobiecego równouprawnienia...

Występuje pani Wanda Olecka, wierząca święcie w swoje powołanie, w świętość głoszonych przez siebie praw. Kto dla zasady z ukochanym przez siebie rozstaje się człowiekiem, ten nie łatwo zmienia barwę sztandaru, pod którym walczył, na zmianę podobną muszą wpłynąć silne zewnętrzne bodźce, przekonywająca moc faktów, że złudnem jest bożyszcze przed którem palono kadzidła. Pani Wanda dowiaduje się, że była igraszką w ręku emancypantek małomiasteczkowych, które pod pustemi frazesami idei, okrywały swoje wiasne malutkie, brzydziutkie, domowe sprawy. Oburzona jest na wpływ jaki wywarła na p. Saturninie, na stanięcie w poprzek do karyery dawnemu narzeczonemu swojemu, z którym raz jeszcze nie wiedząc jeszcze o niczem, spotkała się w domu burmistrza—i—mimo wywoływanych wspomnień nie daje się nakłonić wznawianym prośbom kochanka. Pani Wanda chce być mu *równą*, on mówi, że taką być nie może, bo jest *inną*. Tłomaczy jej, że zguba byłaby dla wielu spraw doniosłej wagi, gdyby rej wodziły kobiety, bo, naprzykład dla pięknych, czarnych lub błękitnych oczu takiego sędziego, on, Karol, niejedną sprawę by pokpił. Przyznajemy, że takie zdanie pana Karola nie pochlebia mu wcale pomimo rozumu i uczciwości męzkiej—ale w ogóle argumentacya p. Milicza jest kruchą, boć takie sprawy nie rozstrzygają się na scenie i do tego—w farsie. Mimo wszystko pani Wanda raz jeszcze daje Karolowi odprawę, który ją żegna na zawsze.

Głupota małego miasteczka razi panią Wandę, wizyta u niej feministek, karykatur nie ludzi—pobudza do śmiechu nawet zwolenniczki emancypacyi, do których zaliczają się Aurelja, Sabina i Kamilla.

Aż oto padł grom.

Z powodu intrygi niewieściej—pan Karol Milicz upadł w swej kandydaturze. Znajomi i przyjaciele jego, sam burmistrz nawet pod wpływem spazmów żony—dał kreskę za panem Feliksem. To wszystko zraża panią Wandę tak dalece, że sama już zbliża się do pana Karola i uznaje w nim męża swojego i pana w niedalekiej przyszłości, słowem—idzie w niewolę.

Ten tryumf, niby idei zdrowej nad głupim feminizmem—jest kwiatkiem do kożucha przypiętym. Czyż gąski małomiasteczkowe mogły jakikolwiekbądź wpływ wywrzeć na rozsądną panią Wandę, ośmieszyć zasadę strojeniem się w piórka na śmietniku gdzieś pozbierane? Wprowadzenie właśnie tej pani Oleckiej popsuło doskonałą zkąd inąd farsę—bo niech sobie, co chcą mówią—komedya, tak jak ją zwie pan Bałucki, prócz śmiechu, miała inny, nazbyt widoczny cel.

I cel ten popsuł dzieło.

Mówiono nam, że grono pań krakowskich oburzyło się na autora za napisanie „Niewolnic.“

Oburzenie niesłuszne, bo śmiech nic nie szkodzi, a i przedstawiona tak, jak w „Niewolnicach“ sprawa emancypacyi, żadnej nie poniesie szkody. To, co ma prawo do życia, żyć będzie—co poczęło się ze śmiercią w zarodku, pierwej czy później umrzeć musi. Od jednego z tych wyroków nie uchroni się i tak bardzo hałasujący feminizm. Co zaś do oburzenia, się to nie tylko kobiety miałyby prawo. W farsie p. Bałuckiego i mężczyźni nie bardzo dodatnio wychodzą. Jeżeliby świat z takich safandułów się składał, to kto wie, czy sam pierwszy nie zgodziłbym się na rządy kobiet.—Ale spokojnie!... to farsa—znanego nam dobrze przyjaciela i pisarza farsa.

Czy jeszcze mam co powiedzieć?..

Gra artystów?

Doskonała jak zawsze a szczery poklask należy się reżyserowi, że nie każe nam długo czekać na nowości. Jak zaś dowiadujemy się, ma ich sporą paczkę w swej tece.

K. Gliński.

JULIUSZ ZEYER.

VERTUMNUS I POMONA.

(Dalszy ciąg).

Ale pośród gwaru miasta i dworu, gdzie sto ciekawych oczu stale na nich tkwiło, nie było im dobrze; zdawało im się to profanacyą niejako ich miłości, która cicho, jak wielka watra, w łonach ich gorzała i świat cały odrębnym blaskiem im oświecała. Zbudował sobie tedy król wysoką i szeroką wieżę z głazów ogromnych pośród najgęstszego lasu, otoczył ją murem obronnym, a przestrzeń między tą ścianą i wieżą zajął ogród, gdzie blade dzikie róże słodko woniały, lilie śnieżyście jaśniały, a krokusy złote kielichy ku rannym otwierały zorzom. I tam to, w najmroczniejszej lasu gęstwinie, blizko strumienia, który wiecznie płakał, śpiewała czarowna królowa wiecznie jasne swe pieśni przewiewającym swobodnie przez kolumnady wieży wietrzykom, wonnym kwiatom i wschodzącym i zachodzącym gwiazdom. Tak znaleźli kochankowie świat własny daleko od reszty świata, tacy tam byli szczęśliwi! Snadź pozazdrościły im bogi, snadź stało się wedle żelaznego prawa, które nie chce, aby szczęśliwi wiecznie szczęsnymi byli, snadź stało się to przypadkiem: dość że szczęście ich nagły miało koniec. Pewnego dnia stawiło się kilku starych mężów w liliowym i krokusowym ogrodzie królowej Śpiewanny, która na nieszczęście sama tam właśnie była, i rzekli jej tak:

— Słodko jest, prawda, prześnić życie w cieniach modrego lasu, oddając się jeno czarowi pięknej żony, ale żywot męża ma swe surowe obowiązki. Król nasz usnął w twem objęciu. Zbudź-że go sama i wskaż mu drogę, którą kroczyć kazał mu los. Jest królem, niech tedy panuje. Królestwo jego odczuwa już słabość rządzącej nim ręki. Czyliż chcesz, aby runęła dawna budowa, założona i wystawiona przez jego ojców, aby jego i ciebie pogrzebała w zwaliskach swych?

Śpiewanna zrozumiała tylko jedno, że mężowi jej grozi nieokreślone, mgliste jakieś niebezpieczeństwo.

— Powiedzcie mi jasno, — zawołała, drżąc całem ciałem, — co chcecie, abym uczyniła? Co by osłonić go mogło?

— Wyprowadź go z tej wieży! — rzekli. — Niech wróci pomiędzy nas, niech żyje, jak dawniej żył, zanim ciebie poznał; więcej nie pragniemy!

Zasmuciła się wielce i odpowiedziała płacząc:

— Czemu szczęściu naszemu źle życzycie? Czemu mi go wyrwać chcecie? Com wam uczyniła?

I rzekł najstarszy z tych mężów:

— Wiedz tedy, że tyś największem z grożących mu niebezpieczeństw, że zguba czeka go tylko w twem objęciu. Wiedz, że byliśmy w Praeneste u bogini Fortuny, która snuje przeznaczenia ludzi i świata, i słuchaj, co wieściły

nam głosy tych, przez usta których bogini przemawia. Wryj sobie słowa jej w pamięć, brzmi tak nieodwrotny jej wyrok: Jedna tylko zguba, jedno gorzej niż śmiertelne niebezpieczeństwo grozi królowi waszemu: jest to przepotężny czar kobiety, niepohamowaną płonącej dlań namiętnością. Biada mu, jeśli nie ustrzeże się jej czarów.

Słysząc słowa te, zapłakała Śpiewanna gorzko.

— Czyliż morem miłość ma? — zaszeptała. — W takim razie radość klęską jest, a słońce ciemnością,

I w smutku płaszczem twarz sobie zasłoniła. Gdy łzy płynąć jej przestały, rzekła do mężów:

— Żądacie tedy, bogi żądają, abym go od siebie oddaliła? Na zawsze? Nie, to niepodobna, niepodobna!

— Nie żądamy tego od ciebie,—odpowiedzieli, — Prosimy cię tylko, nalegaj na króla, aby z tobą między nas wrócił i aby nie żył wyłącznie dla ciebie, pod czarem twej wszechmocnej miłości.

To zdało jej się, w porównaniu z zupełnem wyrzeczeniem się męża, prawie dobrodziejstwem, i rzekła bez wahania:

— Wymogę to na królu, ślubuję wam święcie. Tylko czasu mi trochę zostawcie, abym działać mogła. Zostańcie tutaj, a przekonam was zaraz o dobrej swej woli. Król nie wychodzi już nawet na łowy. Namówię go, aby z wami dziś poszedł do lasu. Będzie to małą próbą przed tym wielkim, stanowczym krokiem.

I powiodła mężów, którzy przynieśli wyrok tej zawsze strasznej, bo nigdy niezbadanej, pradawnej, zasłoną otulonej bogini w Praeneste, do wielkiej sali na wieży, do swego małżonka. Król łaskawie powitał gości, a gdy siedli pod kolumnadą, zkąd na siną dal boru otwierał się widok, i gdy napili się wina, które królowa im przyniosła, przytuliła się ta do męża i swym upajająco słodkim, czarodziejsko śpiewnym głosem tak jęła mówić:

— To dziwna, jak oddziaływa na każdego towarzystwo ludzi! Oboje zapomnieliśmy tak zupełnie o świecie, już mi się nawet nie zdawało, aby za progiem naszym coś było! Lasy zdawały mi się obłokami, czemś, co jest i czego niema, czemś jakby cieniem. Ale zaledwie przyszli nasi goście, przypomniałam sobie, że ludzie mrowią się po świecie, ciągnącym się od tej wieży w niedojrzaność, że gdzieś tam morze bije o brzegi, że srebrne wody z gór po ciemnych tych lasach jak wolne źrebce hasają. Tęskno mi się zrobiło do ludzi, do świata. Lasy nie są obłokami, można po nich błądzić! A jakże słodko błądzić tak po błękitnawych dalach bez celu i granic. Chciałabym z tobą chodzić, ręka w ręce, po górach i dolinach, po niwach i borach, śpiewając nieustannie, w wieńcu kwietnym na głowie, a potem odpoczywać pod strzechami ludzi, siadać u ich ognisk.

Pocałował ją w czoło i odrzekł:

— Jeśli chcesz ze mną błądzić po lasach, pójdziemy. Ale później kiedyś, później, teraz tak mi błogo tutaj.

— Dobrze, później, — szepnęła,—później kiedyś, daleko, ale teraz przynajmniej tu gdzieś bliziutko. Dobrze?

— Dobrze,—rzekł,—choćby zaraz.

— Nie, — zawołała, — zaraz nie, bo boję się straszliwie wyjść z wieży. Od tak dawna nie chodziłeś już na łowy, i dzikie odyńce, szare wilki nabrały odwagi. Zachodzą aż pod same mury nasze, słyszę je niekiedy, siedząc między liliami i krokusami, lub rwąc dzikie róże. W mroku widzę czasami ciemne, krwawe ich paszcze i gorejące widmowo ich oczy! Pójdź na łowy, pójdź zaraz, z gośćmi swymi, przebiegnij las, a dopiero gdy mi rzekniesz, że niema niebezpieczeństwa, wyjdę z tobą, ręka w ręce, pod drzewa, gdzie ptaki śpiewają, a źródełka śmieją się i pluszczą.

Zamilkła. Niepokój jakiś opanował ją, nie wiedziała dla czego. Cisza zapanowała, głęboka cisza, i słychać było tylko łkania tego wiecznie płaczącego niedaleko wieży strumienia. Król zdawał się niemile dotkniętym, nie chciało mu się wychodzić z domu, gdzie ona zostawała, ale widząc jej proszące, łagodne, trwożne spojrzenie, uśmiechnął się wreszcie i rzekł:

— Gdzie mój oszczep? Mój łuk, mój miecz?

I Śpiewanna pobiegła, aby mu przynieść broń, i patrzyła za nim, gdy powoli odchodził z gośćmi w mroki leśne. Uśmiechała się, i najlżejsze przeczucie klęski, smutku nie ozwało się w jej przez długie szczęście uśpionej duszy.

W tejże dobie, gdy król i jego goście po lasach się uganiali, błądziła tam Cyrce, czarodziejka tak wiedna, że chmury burzami brzemienne wedle woli swej ganiała, i księżyc zaciemniać umiała. Znała wszystkie tajemnice roślin, z których wydobywała jady, znała wszystkie zaklęcia, za pomocą których nasyłała śmierć i szaleństwo na tych, których zgubić chciała. Była piękna i straszna. Ją to miała na myśli zagadkami mówiąca bogini w Praeneste, gdy wieściła niebezpieczeństwo grożące królowi, którego starcy przyszli ostrzegać, szaleńcy, niewiedzący, że śmiertelnicy zawsze na zgubę jeno w postępowanie bogów się wtrącają, a wyroki przeznaczeń zawsze błędnie tłómaczą. Wyciągnęli, lekkomyślnie króla z wieży, gdzie tak szczęśliwie żył, a żona, kochająca tak wiernie i silnie, sama ślepo im pomagała! Poprowadzili go nieświadomie wprost na spotkanie srogiej czarodziejki. Zapłonęła Cyrce niepohamowaną namiętnością, gdy go ujrzała, ukryta w dąbrowie. Krzyknęła dziko i wyciągnęła doń ręce: ale on jej nawet nie spostrzegł i pognał za jeleniem, który właśnie w gąszczu mu mignął. Cyrce zbladła, wielkie krople zimnego potu stanęły jej na czole, w żyłach uczuła mróz, w sercu ogień palący. W głowie miała mgłę. Wkrótce jednak opamiętała się, Podniosła rękę, zaśpiewała czarodziejskie słowa, i wnet las gęstą mgłą począł się napełniać. Król i jego towarzysze znikli w niej wkrótce z oczu jeden drugiemu, i każdy puścił się, szukając w zamieszaniu drogi, w innym kierunku. We mgle wszakże uganiały dziwne widziadła, i król Dzięcioł zdumiał się nagle, widząc przed sobą białego jelenia ze złotą grzywą końską i srebrnemi rogami. Nigdy nie był widział podobnego zwierzęcia i, zapominając o powrocie do domu, rozciekawiony puścił się za nim. Długo upędzał się za tą rzadką zwierzyną, która ciągle była tuż przed nim, a zawsze mu pierzchała, gdy myślał, że już oszczepem ją sięgnie. Naraz wszakże olśniła go wielka jasność, tak, że na chwilę zamknął oczy. Gdy je otworzył, jeleń znikł, a król widział przed sobą głęboką grotę. W prawdziwej zawierusze promieni i błędnych ogników stała w niej kobieta, wysoka, biała i piękna. Była to Cyrce. Oczy jej gorzały miłością. Uśmiechała się upajająco.

— Królu, — rzekła, — jaki-ś ty piękny! Tarbea twoja z purpury i złota odziewa cię, niby różana zorza wschodzącego słońca! Ale gdybyś stał przede mną jak żebrak w potarganej odzieży, jednako bym cię miłowała. Pójdź w objęcia moje, białe są jak lilie, patrz, a gorące jak krew, która mi z upragnienia wre! O rozkoszy, pić światło z oczu twych a całunki z twych ust!

Ale król został zimny na nęcący uśmiech, któremu mało kto z bogów czy śmiertelnych by się oparł.

— Serce moje płonie miłością, — rzekł wreszcie, chmurnie spojrzawszy na nią, — ale nie tobie. Jedna tylko jest twarz na całym świecie, za którą tęsknię, jedna kobieta, którą miłuję: jest to Śpiewanna, skromna, czarowna i tęskna.

Na dźwięk imienia tego zaśpiewał cały las. Ale Cyrce zacisnęła pięście, a dziki wykrzyk jej zlał się z drzew szumami. Król zwrócił się do odejścia, ale ona stała już w progu jaskini, podniosła ręce, oczy stanęły jej słupem, lica posiniały, i głosem podobnym kruczemu krakaniu zawołała:

— Śpiewanna? Niech zginie z żalu! Nie pozna, co to jest pragnąć tego, który pierzchł przede mną, pragnąć spojrzenia jego daremnie. Nigdy, nigdy już go nie zobaczy ani ona, ani nikt inny!

Zebrała całą pamięć swoją, wytężyła wszystkie siły swej srogiej, bezlitosnej duszy, zanurzyła się w toń przeklętej swej wiedzy, i, wyprężona, blada, śmiertelnym rzucana kurczem, zagrzmiała strasznem zaklęciem, na które zbladło niebo, zgasło światło, uwiędły drzew liście. Grozy pełne słowo leciało jak strzała za królem, posłyszał je jak łoskot nagłego gromu. Uciekając dalej pędem, czuł, przy grzmocie tych słów, że krok jego staje się lżejszym, jakby skrzydła mu rosły, — i skrzydła mu rosły! Tarbea jego z purpury, złotemi zdobna zapinkami, przylgnęła mu do ciała. Zdumiony sięga po sobie i poznaje, że odzian jest w pierze barwne, a miękkie. Nagle zmusiło go coś rozciągnąć ręce, jak przy pływaniu, i uczuł, że zamiast rąk ma skrzydła, że wzbija się w górę nad drzew korony. Był zmieniony w ptaka, który imię jego nosi! Chciał wołać do bogów o pomoc, ale ptasi jeno pogwizd wychodzi mu z gardła... Tłucze sobą rozpaczliwie o drzewa, i świadomość jego ludzka zanika, gaśnie, gaśnie...

(Dokończenie nastąpi).

MYŚLI.

...Spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę;
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe.

J. Słowacki.

—

Czyste zwierciadło skazić może lekkie tchnienie...

Tenże.

—

Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział.

Tenże.

—

Krucha to rzecz—życie, i łatwa do zniszczenia.

Montaigne.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 6-ty T. II, powieści p. t. *Taquisara*, przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: Rok 997, przez K. G.—Święty Wojciech (rysunek). — Matka znakomitego człowieka (Teresa Riegrowa), przez Bronisława Grabowskiego (dokończenie).—Na łasce Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—Teatr, przez K. Glińskiego.— Juliusz Zeyer. Vertumnus i Pomona (dalszy ciąg).—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Taquisara*, powieść przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Arkusz 6-ty T. II. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 23 Апрѣля 1897 г.